

Stanisława Borawska
z d. Bruszevska
ul. Wyszyńskiego 8A m. 30.

magistr Stanisław Sianko, Białystok

ARCHIWUM WSKROPIE

Nazywam się Stanisława Borawska z d. Bruszevska, c. Stanisława, Herbu "Żęgała". Pochodzę ze starej rodziny szlacheckiej. Z takiej rodziny pochodziła też moja matka. Jej bracia byli ludźmi wykształconymi. Mój ojciec miał skończonych kilka klas jeszcze w carskiej szkole. W 1920-tym roku dopisał sobie dwa lata aby tylko móc pojsć na wojnę. Przed wybuchem drugiej wojny światowej, kilka lat wcześniej, sprzedał dużo ziemi. Sobie zostawił kil^{ka} hektarów lasu oraz trzy włóki ziemi. Nasz majątek znajdował się o czternaście kilometrów od Łap.

Wybuch wojny zastał mnie w trzeciej klasie szkoły podstawowej, gdyż rodzice posłali mnie do nauki w szóstym roku życia. Ponieważ tato był komendantem miejscowej organizacji "Strzelca", z chwilą wybuchu wojny otrzymał rozkaz udania się na wschód z końmi i wozem. Do domu wrócił po kilku tygodniach, kiedy w naszej wsi wszechwładnie rządził Rosjanie. Przez kilka miesięcy panował spokój. W kwietniu 1940-go roku do Bruszewa zawitało NKWD. Po jakimś czasie przyszedł od sołtysa mały chłopiec z wiadomością, że ojciec ma stawić się u miejscowego przedstawiciela władzy. Ojciec po drodze zorientował się, że to się dobrze nie skończy i najzwyczajniej w świecie uciekł. Po kilku dniach do naszego domu przyszli NKWD-yści wraz ze współpracującym z nimi sąsiadem. Nie ukrywali, że przychodzą po ojca. Było to akurat w Wielką Sobotę, kiedy stół był przygotowywany na święto. To nieoczekiwane rozłościło nieproszonych gości tym bardziej, że nasz dom, wykończony tuż przed wojną, prezentował się okazale. Nie szcędzili nam wyzwisk. Pytali o ojca. Mama uparczywie twierdziła, że nic o nim nie wie. Po dwóch tygodniach znów przyszli.

Tym razem nocą. Dokonali drobiazgowej rewizji i spisali dane o całej rodzinie: dziadka Wojciecha, który był już dobrze po sześćdziesiątce, mamę, który miała 31 lat i była w siódmym miesiącu ciąży i nas, troje dzieci: Zofia - 11 lat, Ja - 9, brat najmłodsza z nas, Halina - 4 lata.

Po dwóch tygodniach, nocą, obudziło nas głośnie walenie do ~~dr~~ drzwi. Mama zerwała się z krzykiem; to po nas! Otworzyła. Weszło bardzo dużo żołnierzy, uzbrojonych. Mama najwyraźniej straciła panowanie nad sobą. Chwyciła najmłodszą Halinę na ręce i podbiegła do okna z zamiarem ucieczki. Nie miała nawet cienia szansy, gdyż dom był dokładnie otoczony i pilnowany. Zapaliliś-lampy w pokojach w nadziei, że może przyjdzie ktoś z sąsiadów. Jednak nikt nie przyszedł.

Żołnierze zapowiedzieli nam, że mamy się pakować i że mamy na to godzinę. My, dzieci, byliśmy za mali do pakowania a mama nadal odchodziła od zmysłów. W rezultacie nasze rzeczy spakowała nasza służąca, Jadwiga Drągowska a pomagał jej jeden z żołnierzy. W domu mieliśmy małego psa, który zaczął szczekać na Rosjan, schował się pod łóżeczko siostry i stamtąd nadal ujadł. Jeden z żołnierzy wyraźnie zdenerwowany, wyjął pistolet i podszedł do łóżka z ~~w~~ zamiarem zabicia psa. Moja siostra zawołała do niego: zabij i mnie, badyto. Żołnierz uspokoił się w jednej chwili i schował pistolet.

Nas i nasze rzeczy zapakowano na wóz i ruszyliśmy do odległej o 1,5 km Starej Rusi. Na pozostawione nasze budynki: dom, obory i stodołę nałożono plomby. W Rusi Starej dołączono do nas rodzinę pp. Kowalewskich, którzy byli zatrudnieni na folwarku p. Jaruzelskiego, stryja generała.

Ruszyliśmy w dalszą podróż. Nadal była noc, pomimo połowy kwietnia padał śnieg. Wreszcie dotarliśmy do Łap. I tu przeżyliśmy kolejny wstrząs. Dotąd sądziliśmy, że wiozą nas do wię-

zienia. Na stacji w Łapach zobaczyliśmy długi skład bydłych wagonów i zrozumieliśmy, że pojedziemy na Syberię. Zaczęliśmy płakać. Mama, w siódmym miesiącu ciąży, nie mogła wejść sama do wagonu. Dostała się tam dzięki pomocy innych współtowarzyszy niedoli. Dziadkowi też trzeba było pomagać. Służąca została w Bruszewie, chociaż i ją chciano aresztować. Jednakże dziadek, który doskonale znał język rosyjski wytłumaczył im, że ona jest służącą i nie należy do rodziny.

W Łapach staliśmy przez piątek i sobotę. Przez te całe dwa dni wokoło było słycać płacz, bo ciągle dowożono nowych Polaków. My przez całą sobotę siedzieliśmy w wagonie zamknięci na głucho. W niedzielę ok. godz. 17.00 usłyszeliśmy śpiew i przez szpary zobaczyliśmy procesję kościelną, która szła nas pożegnać. Jednakże stojący na przejeździe sowieccy żołnierze zajęli jednoznaczna postawę i procesji nie przepuścili. Wkrótce pociąg ruszył. Kiedy byliśmy kilka kilometrów za Łapami, zobaczyliśmy procesję przy torach. Jeszcze na stacji w Łapach zaczęliśmy śpiewać "Pod Twoją obronę" a następnie "Nie rzucim ziemi".

W wagonie płacz nie ustawał. W tej atmosferze usnęłam. Obudziłam się nad ranem; pociąg jechał nadal.

Największym utrapieniem naszej podróży był brak wody. Jedzenia też nam nie dawano, ale tu prawie każdy coś zabrał ze sobą. Brak wody, której nie dawano nam aż do granicy, był podobno karą za próbę ucieczki. Nie wiem, czy to była prawda.

Wkrótce w transporcie zaczęła grasować śmierć. Najpierw zaczęły umierać małe dzieci. Musiały one nadal zostawać w wagonach. Dopiero na granicy pozwolono nam je pochować. Podobnie było i z innymi nieboszczykami.

Podróż trwała dwa tygodnie. Ani razu nie dano nam jedzenia.

Kilkakrotnie otrzymaliśmy "kipiatok". 30-go kwietnia pociąg zatrzymał się na stacji Kokczetowaja. Z wagonów wyładowano nas na obszerny plac. Było bardzo zimno, jak to na Syberii. Po jakimś czasie zajechały samochody ciężarowe i zaczęły nas rozwozić po okolicznych kołchozach. My jechaliśmy przez cały dzień aż dotarliśmy do kołchozu Nikolsk nad rzeką Borutskaja, stąd nazwa miejscowości "Nikolsk-Borutskaja". Tu zatrzymały się z naszej kolumny dwie ciężarówki z siedmioma rodzinami a wśród nich i my. Skierowano nas do starego, obskórnego, jeszcze pamiętającego carskie czasy domu, który obecnie pełni rolę klubu. Wśród naszej grupy był, zapamiętałam go dokładnie, gajowy: niemowa, bardzo przystojny. Stale na głowie nosił czapkę z orzełkiem i nikomu nie pozwolił jej stracić.

W kołchozie rozeszła się sensacyjna wieść, że przywieziono "polskich panów". Nazajutrz przyszli do nas Ukraińcy, którzy tu właśnie zostali zesłani w 1936-tym roku za to, że nie chcieli wstąpić do kołchozu. Pochodzili z okolic Kamieńca rodolkiego. Na naszym zaskoczeniu czuli się Polakami, byli katolikami i nosili polsko brzmiące nazwiska: Wilczyńscy, Nowiccy, Lachowicze. Byli to bardzo ciekawi ludzie, bowiem w dokumentach pisali o sobie Ukraińcy-Polacy. Kiedy zobaczyli nas wynędzniałych, zmęczonych a zwłaszcza gdy popatrzyli na nas - dzieci, bez słowa poszli do domu i wkrótce wrócili z mlekiem i innymi produktami żywnościowymi. Okazali się bardzo ludzcy.

W następnym dniu zjawił się prezydent miejscowego kołchozu, okaz sowieckiej kultury. Usłyszeliśmy: "Nu, nu, dawaj!" Zrozumeliśmy, że musimy szukać sobie mieszkania. Moja mama, bez sił, powiedziała, że nie może już poruszać się. Zresztą jak tu prosić o mieszkanie, kiedy miejscowi ludzie żyją w niewypowiedzianej nędzy. Zewsząd bieda szczyrzyła kły. Mieszkający tu Kir-

gizi wyraźnie izolowali się wobec Rosjan, Niemców, Ukraińców o Polakach nie mówiąc. Mieszkali najczęściej w oddzielnych aulach i wyraźnie stronili od innych. Przyjęli nas pp. Wilczyńscy, Ukraińcy - Polacy. Widząc mamę w ciąży stwierdzili, że pomocy nie można odmówić. Za trzy dni mama urodziła brata - Janusza.

Państwo Wilczyńscy w tej sytuacji oddali nam lepszą część swojego mieszkania; sami zamieszkali w kuchni. Pani Wilczyńska przyjęła poród, zarznęła ostatnią kureę i ugotowała rosół mamie, bo "tak trzeba." Pamiętam, pewnego ranka obudziłam się i usłyszałam, jak moja równiśnica, Ukrainka, Marysia Wilczyńska mówi pięknie pacierz po polsku. Wydawało się, że jestem w kraju. U pp. Wilczyńskich mieszkaliśmy przez rok.

Do 1941-go roku utrzymywaliśmy się ze sprzedaży ubrań, pierścionków, zegarków i różnych innych rzeczy, które przywieźliśmy ze sobą. Najczęściej kupowali to od nas Kirgizi. Była to grupa ludności wyraźnie faworyzowana przez sowiecką władzę. Mieszkali w oddzielnych aulach, otrzymywali pszenicy tyle, ile chcieli i bardzo przy tym lubili złoto. Znacznym wsparciem dla nas w tym trudnym okresie były paczki od rodziny. Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej w 1941-ym roku przerwał naszą łączność z krajem.

Do 1941-go roku nikt nas nie pytał, czy pracujemy. Z chwilą wybuchu wojny sytuacja wyraźnie się zmieniła. Rozpoczęła się prawdziwa nagonka. Do pracy pognano nawet dzieci od dziesiątego roku życia a nawet i młodsze. Ja i moja starsza o dwa lata siostra, Zosia, pracowałyśmy jako uborszczyce czyli sprzątaczkę w miejscowej szkole. Była to duża szkoła, mieszcząca się w olbrzymim, pocarskim budynku. Musiałyśmy tu palić w piecach, a zima tu zaczyna się już we wrześniu a kończy się w maju. Dziadek też poszedł do pracy jako pastuch w kolchozie. Mama też pracowa-

ła. Jedzenie, początkowo znośne, teraz wyraźnie się pogorszyło.

Pamiętam wybuch wojny. To było w niedzielę. Mieszkaliśmy już wtedy u innych Ukraińców, pp. Jasińskich. Usłyszeliśmy, jak od strony stacji ktoś biegł ze strasznym krzykiem. Od stacji byliśmy oddaleni jakieś 150 km, od poczty z 10. Jednak wiadomość o wojnie rozeszła się nadszpiewanie szybko. Miejscowi płakali i traktowali wybuch wojny jako straszne nieszczęście gdyż wiedzieli, że wkrótce pójdą na front. My cieszyliśmy się gdyż uważaliśmy, że to zwiększa naszą szansę powrotu do kraju. Nigdy nie wątpiliśmy, że do Polski wrócimy. Dla nas był w tym względzie tylko jeden dylemat: kiedy?

Miejscowi ludzie tj. też zesłańcy przyjęli wiadomość obojętnia. Chociaż Ukraińcy uważali, że wojna pozwoli im powrócić na swoje tereny.

Od 1943-go roku zaczęły się bardzo ciężkie czasy. Od niko- go nic, dosłownie nic nie można było kupić. Za "trudodzień" czyli dniówkę pracy w kołchozie nie otrzymywaliśmy nic. Wszystko szło na potrzeby frontu. Wroźny, suchy, kontynentalny klimat powodował, że jeśli przez trzy miesiące nic się nie urodzi- ło z powodu suszy, to była to zapowiedź głodu. Czasem udawało się nam kupić trawę syberyjską z nasionami. Sadziliśmy też ziemniaki z tym, że ich zbiór był inny niż u nas. Ziemia tam jest bardzo urodzajna, wszystko co posadzone i miało dostatecz- ną ilość wilgoci, rosło bardzo szybko. Tak też było i z ziem- niakami. Już po pewnym czasie podbieraliśmy ~~z~~ pod krzaka po kilka ziemniaków, reszta ziemniaków rosła dalej.

Jedliśmy raz dziennie, bo nie było co. Ciągłe byliśmy głod- ni. W zimie spaliśmy jak najdłużej dlatego, aby nie czuć gło- du. Umieralność wśród ludzi była bardzo duża. W 1942-gim roku Stalin zesłał na Syberię, w nasze st- rony, Niemców nadwołżań- skich. Oni okazali się najmniej odporni na surowe warunki ży-

cia i najczęściej umierali. Tworzyli swoje własne środowisko, izolowali się od pozostałych, porozumiewali się między sobą po niemiecku. Z Polakami żyli poprawnie.

Jestem pewna, że gdyby nie pomoc gen. Sikorskiego, nikt z Polaków nie wróciłby do Polski. Głód i choroby przerzedzały nasze rodziny. Ci, którzy puchli, umierali nieodwołalnie. Ci, których organizm reagował na głód ogólnym wychudzeniem, najczęściej przeżywali.

Chociaż mieszkaliśmy daleko od stacji i od poczty, to jednak szybko dowiedzieliśmy się o tworzeniu armii gen. Andersa. Jechali do niego, kto tylko mógł. Pamiętam, że pojechał taki Gajewski z Kowalewszczyzny, młody chłopak: do ~~z~~psał sobie chyba ze dwa lata i pojechał. Niestety, nie wszyscy zdążyli. Pomoc, którą dostaliśmy od Sikorskiego była w tymtych warunkach wszechstronna: leki, żywność, koce i ubrania to były te rzeczy, które w naszej sytuacji stanowiły ratunek, wręcz ocalenie. Niestety, trwało to krótko. Natychmiast po jego śmierci, wróciło to, co już dobrze zdążyliśmy poznać - bieda. Chociaż magazyny z pomocą dla nas były pełne, nie dostaliśmy nic. Wszystko poszło na sowiecki front.

Mniej więcej w tym czasie mama otrzymała wiadomość od Polaków zamieszkujący bliżej stacji, że NKWD wzywa polskie matki i każe przyjmować sowieckie obywatelstwo. Ci, którzy odmawiają, już do swoich dzieci nie wracają. Są zsyłani za koło polarne a dzieci kierowane są do domów dziecka. W ten sposób likwidowane są polskie rodziny. Radzili mamie i wszystkim nam, aby obywatelstwo przyjmować i w ten sposób ratować nasze dzieci.

Po jakimś czasie, nocą, przyszedł NKWD-ysta i zabrał mamę. Wróciła nazajutrz, nieszczęśliwa i zapłakana. Powiedziała, że przyjęła obywatelstwo sowieckie, bo innego wyjścia nie miała.

Famiętam, z jaką rozpaczą powiedziała: "musiałam tak zrobić, bo inaczej bym do was nie wróciła." My, dzieci, doskonale mamę rozumieliśmy. To była dla nas tragedia. Druga wywózka a nawet coś gorszego. Mama z tego powodu miała cały czas wyrzuty sumienia. Ale wszystkie sześć mieszkających z nami matek zrobiło tak samo. Ja ciężko chorowałam. Mama też. Zimą 1943-go roku zmarł dziadek z głodu. Odszedł przez Bożym Narodzeniem. Mama prosiła ludzi, aby wykopali grób. Nie było to takie łatwe, bo mrozy przekraczały 40 stopni. Ludzie kopali przez kilka dni. To, co dziś wykopali, nazajutrz zasypywał śnieg. Pogrzeb wypadł w wigilię. Mamie udało się załatwić dziadkowi skromniutką trumnę ale tylko dlatego, że mama w naszym kołchozie zarzynała owce., bowiem mężczyźni poszli na front. To zajęcie dawało nam i tę korzyść, że można było czasem ukraść trochę sadła i w ten sposób podtrzymywać rodzinę przy życiu.

Najgorzej było wiosną. Niemcy żywili się wronami. My nie mogliśmy się na to zdobyć. W pobliżu szkoły, w której pracowałyśmy z siostrą, były tzw. lampasy czyli magazyny zbożowe. Zrobiłyśmy w ścianie niewielką dziurę i tą drogą kradłyśmy po kilka kilogramów ziarna. Wiązało się to z olbrzymim ryzykiem, gdyż za takie postępowanie groził wyrok nawet kilkuletni. Mama chodziła na zbieranie kłosów w stepie. Tego nie wolno było robić na jesieni lecz dopiero na wiosnę. Kłosy leżały do wiosny w stanie prawie nienaruszonym, gdyż przy tamtejszych mrozach nie gniły prawie wcale. My, dzieci, biegaliśmy wiosną na słoheczniki, które pozostawały na polu z ubiegłego roku. Ganiano nas zawzięcie. Czynili to miejscowi, jeżdżąc na małych, syberyjskich konikach.

Mnie, najmłodszą, otaczano w rodzinie największą opieką. Wielkim przysmakiem były obierki z suszonych kartofli. Dziś nie bardzo rozumiem, jak ja to mogłam jeść. A przecież jadłam.

W pewnym okresie byłam już w agonii głodowej. Czułam, że jestem bardzo słaba i że słabnę dalej. Ludzie mówili, o czym nie wiedziałam, że jeżeli głodny prosi o jedzenie, ⁿapewno przeżyje. Ja właśnie cały czas o jedzenie prosiłam. Chodziło ^{o to} aby przeżyć do rana. Przeżyłam.

Wielkim niebezpieczeństwem w zimie były wilki, które olbrzymimi watahami podchodziły pod ludzkie osiedla. W kołchozie wystawiano specjalne strażę, dzwoniono w specjalne dzwony, palono ogniska. Gorzej było w pasiołku. Wilki burzyły płoty a nawet dostawały się do obór czyniąc tam prawdziwe spustoszenie.

Niebezpieczne były buriany, burze śnieżne, które ograniczały widoczność niemal do zera. Człowiek nawet we wsi mógł się zgubić. W czasie burianu jedynie mróz był nieco łżejszy. Pamiętam, jak pewnego razu mama poszła do wsi pohandlować, aby zdobyć coś do jedzenia. Padający śnieg zasypał domy do tego stopnia, że nie wiedziała, gdzie mieszkamy. My natomiast siedzieliśmy w ^odmu sądząc, że jest noc chociaż ^zzstanawialiśmy się, dlaczego tak długo trwa. A to śnieg zasypał nas zupełnie. Dopiero później przyszli ludzie i nas odkopali.

Praktyki religijne nie interesowały naszych władz. Polacy i Ukraińcy, katolicy, zbierali się na wspólne modlitwy. Modliliśmy się na polskich książeczkach do nabożeństwa. Często też były polsko-ukraińskie małżeństwa. Zawsze w grupie nawet ukraińskiej był ktoś, kto znał w czytaniu język polski i prowadził nabożeństwa. Wspólnie też odmawiano różaniec.

Smutne były nasze, syberyjskie wigilie: kolędy, pszenica, trochę maku. Jedliśmy łyżkami ugotowaną pszenicę, którą tu traktowaliśmy jako opłatek.

Rosjanie obchodzili też Wielkanoc; jakoś potrafili to obliczyć. W Nikolsku była kiedyś duża cerkiew, którą zburzono w czasie rewolucji bolszewickiej. Dzieci popa rozebrano wówczas na

śniegu i tak one umarły. Sam pop przeżył to piekło. Nadal mieszkał w kołchozie i miał jednoznacznie przykazane, że nie wolno mu odprawiać żadnych nabożeństw.

W pasiołku funkcjonowała szkoła, dziesięciolatka. Uczęszczała do niej do 2-ej, trzeciej i czwartej klasy, do naszego wyjazdu do Polski.

Zakończenie wojny ^Wpowitano z wielką ulgą. Pamiętam, jak kołchoźnica roznosząca pocztę biegła z czerwonym sztandarem, skakała i śpiewała na wysokim brzegu rzeki. Część z nas nie wiedziała co jest tego powodem i sądziła, że kobieta zwariowała. Wzrosły nasze nadzieje, że wkrótce wrócimy jednak do Polski. Nasze nadzieje podtrzymywał pewien pan, który poszedł do wojska do gen Berlinga. Pisał do swoich dzieci, które były w naszej miejscowości i ciągle zapewniał w listach, że powrót do kraju jest pewny.

Wreszcie zaczęli wracać z wojny Rosjanie. Do mojej mamy mówili: "Nu, Bruszevska, Polska będzie, ale nie taka jak kiedyś lecz inna. Polska będzie nasza." Niewiele z tego wówczas rozumieliśmy. Nie wyobrażaliśmy sobie innej Polski niż ta, którą znaliśmy.

Pomimo sowieckiego obywatelstwa, groźbą nam wciśniętego, Polacy zaczęli się organizować i domagać się powrotu do kraju. Czekaliśmy w tym stanie niepewności do jesieni a każdy dzień ciągnął się jak rok. Wreszcie jesienią, a jesień tam to sierpień, kazano wszystkim Polakom od lat sześciu zgłosić się do miejscowości Kazanka, ok. 12 km od Nikolska, w sprawie obywatelstwa. W sali, za stołem siedziało kółku panów Rosjan w wysokich czapach i każdego pytali, jak na praworzadne państwo przystało, jakie sobie obiera każdy obywatelstwo. Nie było wypadku, aby ktoś odszedł od obywatelstwa polskiego. W praktyce każdy wchodzący jeszcze nie przekroczywszy progu wołał głoś-

no, że jest Polakiem i pozostaje przy polskim obywatelstwie. I każdy deklarował chęć powrotu do Polski.

Wróciliśmy do kołchozu; zaczęło się dalsze czekanie. Wiedzieliśmy, że Polska już jest. My tu cierpimy głód a do kraju z jakichś powodów wrócić, przynajmniej narazie, nie możemy. Z kraju nie mieliśmy żadnych wiadomości, żadnych listów. Jedynie p. Gąsowska z Łap otrzymywała listy od męża. Od niego to dowiedzieliśmy się o pobycie mojego ojca na Syberii. Pan Gąsowski napisał bowiem zaszyfrowane zdanie, że "...Żęgawa pojechał do rodziny."

Jak się później okazało, ojca aresztowano w 1944 roku, po wejściu Armii Czerwonej do Bruszewa. Otóż po naszej wywózce w 1940-tym roku majątek rozparcelowano. Dom wywieziono do Łap, stoły do Stacji kolejowej w Sokołach na magazyny a obory do Rusi Starej, gdzie był majątek Jaruzelskiego, Stryja Wojciecha. W 1944-tym roku ojciec starał się to pozwozić na miejsce. Rosjanie aresztowali ojca i zamierzali rozstrzelać go na miejscu. Uratował go mój cioteczny brat, Roman Rogowski. Ojciec miał już ręce związane drutem, żołnierze wzięli łopatę i zamierzali dokonać egzekucji. Rogowski zaczął strasznie krzyczeć. Zatrzymał się na ten hałas samochód, w którym jechało jakieś sowieckie "naczalstwo". Postanowiono obu aresztować. Ojcie trafił początkowo do Ostaszkowa a następnie do kopalni węgla na Uralu do Magnitogorska.

My nadal czekaliśmy na powrót do kraju. Mieszkaliśmy w szkole, gdzie mama pracowała jako "uborszczyca". Pracowała bardzo ciężko, musiała sprzątać oraz opalać 10 sal lekcyjnych. Pewnego ranka usłyszeliśmy niesamowity hałas. Mieszkający z nami w szkole nauczyciel, Rosjanin, mruknął: "wredna Polka zwariowała." I usłyszeliśmy głos mamy: "dzieci, wstawajcie, jedziemy do Polski." Nie wierzyłam wówczas i nie wierzę dziś, że może być większe

szęście na ziemi.

Przez dwa dni przygotowywaliśmy się do wyjazdu. Padał śnieg, burian. Wydawał się nam niewielki. W innych kołchozach dawano wyjeżdżającym Polakom woły na przewiezienie do stacji, do której było, jak mówiłam, 150 km. Nam dano konie. Przedstawiciel kołchozu, Ukrainiec, okazał się dobrym człowiekiem. Podstawiono 6 sań, bo sześć polskich rodzin wyjeżdżało. Przed samym odjazdem do mamy podeszła Rosjanka i zaproponowała wypicie bimbrowa, bo nadal wiał burian a i mróz był ostry. Mama poussażala nas, dzieci, na saniach i ponakrywała, czym było można. Ruszyliśmy. Z tymi samymi pieśniami, z którymi opuszczaliśmy Łapy: "Pod Twoją obronę" i "Nie rzucim ziemi...".

Do rejonu -35 km - dotarliśmy w śnieżycę. Ale nam było ciepło. Tu musieliśmy czekać na ruszenie śniegów, bo dalsza podróż nie była możliwa. Wrzucono nas do dużego domu, w którym było wielu takich ludzi jak my. I nikt się nami nie zajmował. Ale nasze matki umiały już sobie radzić. Przed świętami wielkanocnymi zaczęliśmy załadunek do wagonu. Dziwny zbieg okoliczności: podobnie jak w Łapach - też w Wielką Sobotę. Pamiętam, że dzień był słoneczny. Kiedy już mieliśmy ruszyć, kilku Żydów z naszego transportu /wracali gdzieś z południa, chyba z Alma Aty/ chcąc podliznąć się, urządziło miting, w czasie którego zaczęto dziękować władzy radzieckiej za to, że pozwala nam wrócić do Polski. To wywołało wściekłość naszej młodzieży. W ruch poszły kamienie i przemawiający na samochodzie niewiele zdołał powiedzieć. Dorosłych z naszego transportu ogarnął strach. Obawiali się, że za taki incydent Rosjanie mogą powieźć nas w drugą stronę.

Ruszyliśmy. W dobrą stronę. Każdy z nas otrzymywał dziennie 0,5 kg chleba. Codziennie też dawano nam kipyatok. Nikt nas nie pilnował. Podróż trwała miesiąc. Wieziono nas okrężną drogą. Nie jechaliśmy przez Moskwę. Pamiętam, że jechaliśmy przez Ria-

zań. Kiedy transport zatrzymywał się, nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy ruszy. Jeśli Rosjanie mówili, że pojedziemy za chwilę wiadomo było, że będziemy stali bardzo długo. I odwrotnie: jeśli mówili, że będziemy stali długo, ruszaliśmy już po kilku chwilach. Na skutek celowego, jak sądzę, błędnego ^uinformowania kilku młodych ludzi zostało w Rosji. Jest mało prawdopodobne, że kiedykolwiek wrócili. Rosja to przecież otchłań. Mój brat niemalże nie podzielił losu tych nieszczęśliwców. W czasie postoju transportu pobiegł z kolegami na pobliski bazar kupić "siemiczki". W ostatnie chwili do jadącego już transportu, do ostatniego wagonu, ktoś go wciągnął. Mama tego nie zauważyła i sądziła, że został. Że jedzie z nami, dowiedziała się na następnej stacji. Strasznie to przeżyła.

Umieralność w transporcie była bardzo duża. Podczas postojów w polu zakopywano zwłoki. Pamiętam, że jadąc w tamtą stronę widziałam wiele osób, które zwariowały. Na końcu transportu był specjalny wagon, w którym jechali ci nieszczęśnicy.

Transport powoli zmierzał w stronę Polski. W pewnym momencie mama zawołała, że chyba jesteśmy w Polsce bo widać polskie krzyże. Niestety, były to ^{te}wschodnie tereny II Rzeczypospolitej, obecnie nie należące do nas.

Wreszcie dotarliśmy do Brześcia. Tu witała nas jakaś delegacja z Warszawy. Nikt tego nie słuchał, każdy chciał dotknąć polskiej ziemi. To była chyba sobota. Nazajutrz, w ^{niedziela} ~~sobotę~~, poszliśmy do kościoła, polskiego kościoła po stronie rosyjskiej. Tu ksiądz polski powitał nas serdecznie.

Transport ruszył w kierunku Warszawy. Wyszliśmy w Raciборach. Do naszego Bruszewa było 12 km. Był wieczór. Po szarym stepie wydawało się nam, że jesteśmy w raju: zieleni, kwiaty i ciepło. I rozpierająca nas radość. Dróżnik kolejowy widząc mamę i nas, pięcioro dzieci z tobołkami, przenocował nas.

Rano wstaliśmy i mama powiedziała: idziemy. Płakałyśmy ze szczęścia i dlatego, że tu jest tak pięknie. Kiedy wchodziliśmy z mamą /tylko ja z mamą, bo reszta rodzeństwa została w Raciborach/ do wsi, jedna z sąsiadek nie poznała nas i powiedziała głośno: o, mówiono, że po wojnie nie będzie Cyganów a dwie Cyganki poszły do wsi. Wówczas mama powiedziała do sąsiadki: to tak poznajecie? Dopiero sąsiadka poznała nas, zrobił się krzyk, powitanie ze łzami. Pytano, czy tylko dwie wracamy. Musiałyśmy zapewnić, że wracamy wszyscy oprócz dziadka. Na moście spotkał nas młody chłopak, Józek, który w czasie aresztowania nas w 1940-tym roku pracował u nas. Zdębiał na nasz widok i ledwie ze zdziwienia /trochę się jąkał/ coś powiedział. Weszliśmy na nasze podwórze. Dom był zniszczony i wyglądał żałośnie. W sieni siedziała moja ciocia a ojca siostra, Rogowska. Przyjechała do nas aby posadzić nieco ziemniaków na wypadek, gdybyśmy wrócili z Syberii. Oczywiście teraz, przebierając ziemniaki, spojrzała na nas dwukrotnie i nie poznała. My stałyśmy nadal. Ja płakałam ale mama trzymała się dzielnie. Wreszcie ciocia spojrzała na mamę po raz trzeci, tym razem w oczy i jeszcze z niedowierzaniem powiedziała: "Boże, czy to ty Stefa?" A mama na to: no tak, to mnie siostra nie poznała. Tak bowiem zwracano się wówczas do siostry męża. Krzyk i głośne powitania. Ze stodoły nadbiegł Roman, ten, który uratował ojca od nieuniknionej śmierci. Ciocia powiedziała, że w pierwszej chwili wzięła nas za żebraczki a mój płacz tłumaczyła tym, że prawdopodobnie pies mnie przestraszył.

Roman pojechał do Racibor po resztę rodziny. Ja najadłam się i poczułam się w domu. Wkrótce nadszedła reszta rodziny co spowodowało kolejne powitania. Ale nasza radość wyraźnie zaczęła topnieć gdy sobie uświadomiliśmy, że nie ma Ojca. Trzymaliśmy się nadziei, że skoro my przeżyliśmy to i ojciec przeży-

je. Nie mieliśmy nic. Dosłownie nic. Wszystko zostało rozparcelowane lub rozgrabione przez sąsiadów. Krowę dał nam najbiedniejszy rolnik ze wsi - Białecki. Mówiono o nim, że to "głupi Białecki", bo był to człowiek wyjątkowo uczciwy. Mieliśmy więc mleko a to już było coś. Zresztą w Polsce można było żyć.

Ojciec wrócił w listopadzie 1946-go roku, pamiętam, że przyszedł rano. W domu zapanowała wielka radość. Ojciec zawsze powtarzał, że przeżył dzięki opiece d-ra Władysława Giedroycia. Wielu Polaków zawdzięcza mu życie. Mnie też pomagał później, gdy wyrzucano mnie z pracy ze szpitala Sniadeckich. Z wielkim zdziwieniem czytałam wspomnienia o nim po jego śmierci. Nigdzie nie pojawił się wątek syberyjski ani jego przynależność do AK. Wtedy był to temat zakazany.

Byliśmy razem. Rok 1947-my minął spokojnie. W następnym, 1948-mym zaczęły się wizyty UB. Wreszcie pewnego wieczora wpadło UB po ojca, który akurat był u sąsiada. Wracając spostrzegł, że dom jest otoczony i oczywiście zawrócił. Ukrąpył się do 1953-go roku. To było koszmarnych pięć lat. Pięć lat ciągłych prześladowań. Ciągłe siedziało nam na karku UB z Wysokiego Mazowiecka. Jeden z nich - Ptaszyński - był nazywany naszym "kuzynkiem". Był codziennie, pytał co słychać. On jeszcze był dobry, bo tylko nas nękał swoją obecnością. Non stop mieliśmy u siebie UB i wojsko. Kiedy dorósł mój brat, jako jedyny ze wsi trafił do karnej jednostki w Bytomiu na trzy lata. Ja nie mogłam dostać się do żadnej szkoły. Wreszcie udało mi się dostać się do Krzyżewa do szkoły rolniczej. Pomogła mi w tym p. Wróbel, dyrektorka, pochodziła podobno ze Starosielc. Szkołę podstawową skończyłam w Dołkach. W szkole rolniczej było początkowo spokojnie do czasu, kiedy Rosjance powiedziały "Zdrastwujtie". ZMP mnie wytropiło, zrobiono sąd. Bronili mnie p. Karpowicz, wychowawczyni oraz brat pani Wróbel. Tłumaczyli im, że byłam na Syberii i stąd to moje odezwanie się. Mimo że byłam najlepszą uczennicą w klasie nie

dopuszczono mnie do egzaminów "małej matury". Do szkoły przyjechało bowiem UB i oświadczyło, że poszukują mojego ojca i że ją nie mogę przystąpić do egzaminów. Dyrektor szkoły - Mieczysław Jagłowski - okazał się porządnym człowiekiem. Powiedział mi: nie martw się. Dopóki ja jestem tu dyrektorem, ty szkołę skończysz. I słowa dotrzymał. Ja szkołę skończyłam tylko dlatego, że on skończył dyrektorowanie. Wyrzucono go także i za to, że opiekował się mną. Byłam bowiem bardzo słaba, anemiczna. Dawał mi codziennie szklanekę mleka i pilnował, abym je wypijała.

Chciałam uczyć się dalej, bo szkoła w Krzyżewie dawała mi tylko "małą maturę". Dyr Jagłowski w porozumieniu z dyrektorem Brzezińskim w Dowspudzie załatwił mi tam technikum. Przykazał mi tylko, abym wszystkim dookoła mówiła, że nie będę dalej się uczyć. Jeden z moich kolegów, Czesław Korzeniecki, był już wówczas partyjny, pochodził z jakiegoś PGR-u z okolic Szepietowa, powiedział mi wprost: nie staraj się o żadną szkołę, wszędzie cię znajdziemy, nic nie skończysz.

W Dowspudzie opiekował się mną dyr Brzeziński a po jego odejściu - dyr Zalewski, wilnianin z pochodzenia. Nie należałam do żadnej organizacji, nie uczestniczyłam w żadnych pochodach, mówiłam to, co myślałam. Zainteresowało się mną UB. Jednak miałam wiele szczęścia, bo pomyłono mnie z moją koleżanką, Truskolaską. Wzywano ją na przesłuchania, ona celowo nie wyprzedzała ich z błędu. Tak dotrwałam do matury, którą szczęśliwie zdałam. Jestem pewna, że zawdzięczam to odwadze dyrektora Zalewskiego.

Pomyłka wyszła na jaw dopiero przy przyjmowaniu nakazów pracy. Dziewczęta z naszej szkoły były kierowane głównie do Rad Narodowych lub stacji oceny nasion. Chłopcy natomiast szli do PGR-ów. Tak się złożyło, że jednemu z kolegów, Remigiuszowi Modzelewskiemu z okolic Grajewa, działaczowi ZMP, zabrakło miejsc

sca w radzie narodowej. Tak być nie mogło. Kolega zawiadomił, kogo należało. Wkrótce w szkole pojawiło się UB. Zrobił się z tego skandal. Odbył się sąd, który stwierdził bardzo poważne niedopatrzenie. Ostatecznie stanęło na tym, że zostaną skierowana do PGR-u Stace, 18 km od Olecka. Jeśli odmówię, nie otrzymam świadectwa maturalnego. Dyrektor, człowiek mi życzliwy poradził, abym podpisała i przyjęła nakaz bo rzeczywiście nie otrzymam świadectwa maturalnego.

Zgłosiłam się do PGR-u. Kierownik i ludzie tam zatrudnieni byli nijacy. Nie było do kogo odezwać się. Często do pracy przywożono więźniów. Wytrzymałam tu dwa miesiące. Wreszcie pojechałam do Ministerstwa Rolnictwa z prośbą, aby mnie skierowano w inne miejsce i w inne otoczenie bo tu nie jestem w stanie dłużej wytrzymać. W Ministerstwie Rolnictwa odpowiedziano, że jeśli Ministerstwo PGR-ów mnie zwolni, oni mi pracę dadzą. Ale w Ministerstwie PGR-ów nawet słyszeć o tym nie chciano. Doszło do gwałtownej rozmowy, w czasie której rozplakałam się. Powiedziałam im wprost, że do PGR-u nie wrócę. Mogą mnie nawet posadzić w więzieniu, nie pójdę i już. Wróciłam do domu.

Po pewnym czasie otrzymałam pracę w Szkole Podstawowej w Wyszonkach. Skierowanie otrzymałam w wydziale oświaty w Wysockim Mazowieckim. Kierownikiem szkoły był pan Adolf Wysocki. Tam pracowało mi się nieźle. Uczyłam matematyki, geografii i chemii. Tu dotrwałam do śmierci Stalina.

Pewnej soboty przyjechała delegacja z Katowic. Miejscowe władze zarządziły zebranie a mnie polecono otworzyć salę w szkole. Nikt nie wiedział o co chodzi. Kiedy już sala zapełniła się ludźmi, nakazano śpiewać Międzynarodówkę. Nikt nie chciał, ja też. Wówczas jeden z gości zbolalym głosem oznajmił, że zmarł Stalin. Nie wytrzymałam i parsknęłam śmiechem. Ktoś zgasił światło, zabrzączały rozbijane szyby. Goście z Katowic uciekli.

Następny dzień, niedziela, minął spokojnie. W poniedziałek w czasie lekcji otrzymałam wiadomość, że jest już podstawiona fura aby mnie odwieźć na UB do Wysokiego Mazowieckiego na przesłuchanie. Tu zastałam wielu mieszkańców wsi, wezwanych z tego samego powodu. Przesłuchujący mnie UB-owiec rozpoczął typowo: wszystko wiemy i posadzimy nie tylko ciebie ale także i tego, kto cię zatrudnił. Jak możemy dojść do socjalizmu jeśli tacy jak ty uczą dzieci. W tym stylu straszył mnie dość długo. Na wszystko miałam tylko jedną odpowiedź: "nic nie wiem". Wreszcie odpowiedziałam mu, żeby się nie wysilał, bo mam za sobą piekło syberyjskie i w Polsce trudno mnie będzie przestraszyć. Kiedy on podnosił głos, nie pozostawałam dłużna. Wreszcie zmienił ton: mam szczęście, że trafiam na niego, bo polskie więzienie trudniej przeżyć niż wywózkę na Syberię. Zwolniono mnie po dwunastu godzinach.

Wróciłam do pracy. Po kilku dniach przyjechał pracownik Wydziału Oświaty i zalecił mi napisanie podania o zwolnienie motywując to brakiem kwalifikacji. Odmówiłam wprost twierdząc, że nie będę im ułatwiać zadania wyrzucenia mnie. Po mojej stronie stanęła wieś, bardzo patriotyczna. Uczyłam bowiem dzieci śpiewać pieśni religijnych i patriotycznych. Jeździł w mojej sprawie do wydziału oświaty ale to tylko pogarszało moją sytuację. Wreszcie mnie wyrzucili.

Tym razem podał mi rękę doktor ~~Dr~~ Gedroyć, który w Rosji pomagał mojemu ojcu. Dał mi pracę w księgowości w szpitalu Sniadeckich. Tu pracowałam wśród wspaniałych ludzi i robiłam to, co lubię. Ale i tu mnie odnaleziono, w 1954-tym roku. Wezwano mnie do WRN gdzie usłyszałam, że mam wrócić do rolnictwa jako wykwalifikowana siła. Ja usiłowałam przekonać, że w rolnictwie już byłam i się nie sprawdziłam. Wróciłam z tej rozmowy wyraźnie przygnębiona. Dyrektor Dowgird postanowił wziąć

sprawę na "przeczekanie"; może zapomną, może sprawa rozejdzie się "po kościach". Po tygodniu wezwano dyrektora, ale już do komitetu. Wrócił, przyszedł do naszego pokoju, usiadł przy moim biurku i rzekł: "Dziecko, nic ci pomóc już nie mogę. Pamiętaj jednak, że jeśli w przyszłości będziesz chciała do nas wrócić, zawsze masz u nas miejsce." Odeszłam.

W WRN-ie zaproponowano mi Sokółkę, Hajnówkę i Kolno, na które się zdecydowałam. Do nowej pracy zgłosiłam się po 10-ciu dniach. Tam wśród wielu pism nadesłanych w mojej sprawie wyczytałam i to, że zostałam skierowana do Kolna na moją prośbę.

W nowym miejscu pracy zachowywałam się biernie. Nie uczestniczyłam w życiu politycznym, pochódach i innych podobnych imprezach. Nie więc dziwnego, że mnie wkrótce i tu rozszyfrowano. Nie było to takie trudne, bo wśród załogi był niejaki p. Milewski, który pamiętał mnie z Dowspudy: "O, Bruszevska, my ją dobrze znamy. Wiem, co to za osoba." I zaczęła się nagonka. Ale mój kierownik, p. Rzonca pochodzący z Racibor powiedział jednoznacznie: Nie; ją przysłało województwo i należy odnosić się do niej z respektem. W ten prosty sposób wybronił mnie. Ale na moich aktach na górnym marginesie istniała adnotacja, że mój ojciec ma ponad 40-ci ha ziemi. I to był właściwy wyrok.

Po pięciu latach ukrywania się, ujawnił się mój ojciec. Stało się to dlatego, że UB aresztowało mojego młodszego brata, zbito go okropnie w Sokółkach i jeżdżono z nim po rodzinie po to, aby brat prosił o to, aby ojciec przestał się ukrywać. Ojciec na wiadomość o biciu swojego syna ujawnił się. Przez rok dano mu spokój. Wreszcie wytoczono ojcu proces za nieoddawanie obowiązkowych dostaw licząc od 1944-go roku. Na nic zdały się tłumaczenia ojca, że dopiero w końcu 1946-go roku wrócił z Syberii, że parę miesięcy wcześniej wróciła z Rosji rodzina. Dostał 5 lat. Na rozprawę nie dopuszczono świadków; nie byli potrzebni. Na rozprawie

były moja mama i siostra. W tym czasie do Białegostoku jechał p. Jaruzelski w podobnej sprawie ale po to, aby swoimi znajomymi pomóc innemu oskarżonemu. W czasie podróży pocieszał moją rodzinę, że sprawiedliwość ostatecznie musi zwyciężyć.

Nastaly znowu ciężkie lata dla rodziny. Ojciec przebywał w więzieniu. Pracował w Warszawie na Służewcu. Od więźniów politycznych pobierano krew. Brat przebywał w wojsku ale właściwie w karnej jednostce w Bytomiu i pracował w kopalni.

Ojciec wrócił do nas w 1956-tym roku, kiedy do władzy doszedł Wł. Gomułka. W 1961-ym roku wyszłam za mąż.

Ponure czasy wróciły do nas w czasie stanu wojennego. Moi dwaj synowie ~~ixja~~ należeli do NZS-u, ja do "Solidarności". Przez dom przeszła rewizja. Syna usunięto ze studiów prawniczych /ostatecznie skończył historię/. Mnie zwolniono z pracy. W wydziale zatrudnienia ciągle słyszałam, że nie ma pracy. Dopiero później okazało się, że mam "wilczy bilet". Kiedy poprosiłam o zaświadczenie, że nie mogę otrzymać pracy, to może mój syn-student otrzyma zasiłek losowy okazało się, że praca dla mnie jest na stanowisku spawacza.

Nie pracowałam. Po kilku latach nabyłam prawo do wcześniejszej emerytury. Syn zdawał ponownie na prawo i zdał na czwórki. Jednak z braku miejsc nie został przyjęty. Dopiero później okazało się, że syn ma "wilczy bilet".

Wreszcie otrzymał wezwanie do wojska gdzie przedstawiono mu propozycję wstąpienia do szkoły oficerskiej a wszystkie kłopoty materialne ustąpią. Syn zdecydowanie odmówił. Jednak dano mu dwa dni do namysłu. Pod moją presją jeszcze w tym samym dniu poszedł do władz wojskowych i odmówił ostatecznie. Usłyszał, że ~~kw~~ będzie tego gorzko żałował.

Zaczęliśmy starać się o przyjęcie na KUL. Było już jednak po egzaminach. Syn zdecydował się pójść na szkołę pomaturalną a w nas-

tępnie jeszcze raz zdawać na prawo. Po jakimś czasie otrzymaliśmy wiadomość drogą poufną, że będ^e mógł zdawać na historię i że w wypadku zdania będzie przyjęty. Tak się też stało.

Po reaktywowaniu "Solidarności" podjęłam starania o ponowne przyjęcie mnie do pracy na rok po to, abym mogła wypracować sobie wyższą podstawę. Zaczęła się biurokratyczna mitręga. Sprawa oparła się aż o komisję przy Sejmie. Obecnie pracuję już 11-ty miesiąc.

Notował: S. Sianko.

